

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży z działem dla dzieci

I DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

W książkowym dodatku miesięcznym wychodzi obecnie: „Szkoła Krzemieniecka.”

WŁ. UMIŃSKI.

O SŁOŃCU.

III. Co widzimy na słońcu (Plamy słoneczne).

Widziane gołym okiem słońce przedstawia się nam jako kula ognista, niezmiernie jasno świecąca, tak iż oko na nią skierowane czuje się olśnionem, i widzi tylko różnokolorowe kręgi, zmieniające się co chwila. O wschodzie i o zachodzie, kiedy nisko stojące słońce musi przebijać swojemi promieniami bardzo grube warstwy powietrza, oko bezkarnie może spocząć na jego czerwonej tarczy, podobnej do wielkiego kręgu rozpalonego do czerwoności złota.

Ale w takiej chwili nic ciekawego na powierzchni kręgu nie spostrzeżemy. Ktoby chciał koniecznie obserwować słońce gołym okiem, ten musi patrzeć na nie przez ciemne szkło albo przynajmniej przez szkiełko zakopcone nad płomieniem świecy. Podobnych szkiełek używają ludzie podczas zaćmienia, żeby lepiej móc się przypatrywać rzadkiemu i ciekawemu zjawisku.

Dopóki jednak przyglądano się słońcu przez zwyczajne, a co najwyżej przez zakopcone szkieł-

ka, dopóty nic ciekawego nie zdołano się na jego powierzchni dopatrzeć.

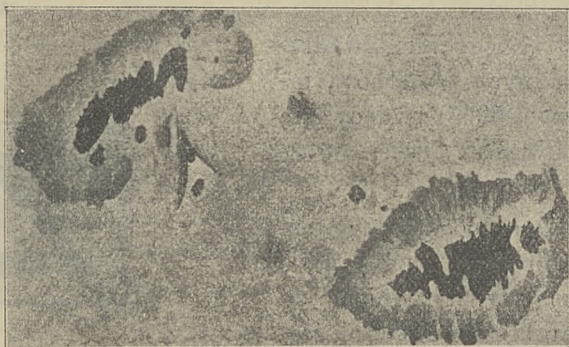
Niektórym spostrzegaczom zdawało się wprawdzie, że widzą przez szkła na jasnej powierzchni gwiazdy dziennej jakby ciemniejsze plamki, ale przypuszczenie obecności jakichkolwiek plam na słońcu, uważanem za ideał czystości, było tak dalekiem od ówczesnych poglądów, że spostrzegacze nie wierzyli wprost swoim oczom, a jeżeli nawet wierzyli, to oba-

wiali się głośno mówić o tem, że słońce ma plamy, bo za takie „błuznierstwo” mogła ich spotkać duża nieprzyjemność.

Kiedy jednak zbudowano pierwsze dalekowidze przy pomocy szkieł wypukłych, i kiedy najprzód Schreiner a potem Galileusz i inni uczeni zaczęli takimi udoskonalonemi narzędziami badać po-

wierzchnię słońca, nie dało się już dłużej powątpiewać o obecności plam na pozornie niepokalanej tarczy słonecznej. Należało uznać rzeczywistość niespodziewanego zjawiska. Plamy słoneczne są zwykle małe, ale wyjątkowo zdarzają się tak wielkie, że je można widzieć gołym okiem, ubezpieczonem od jasności szkiełkiem okopconem.

Plamy nie mają jednakowego kształtu, chociaż większa część ich przypomina koło albo owal. Najciemniejszym jest jądro, otoczone pół-



(Fig. 1). Plama słoneczna, obserwowana w Bourges we Francji 10 kwietnia 1904 r.

cieniem cokolwiek jaśniejszem i wyraźnie odcinającym się od jądra. Na niezmiernie błyszczącej powierzchni tarczy słonecznej środek jądra wydaje się czarnym, ale w rzeczywistości nawet ta część plamy świeci. Wydaje także światło i półcień, wyglądający szaro. A światło to swoją siłą równa się przynajmniej naszemu elektrycznemu; jeżeli półcień wydaje się szarym, to tylko dlatego, że otaczająca go część tarczy słonecznej świeci tysiąc razy silniej.

Tak wygląda w grubych zarysach plama słoneczna. Sama czysta powierzchnia słońca przez teleskop wydaje się nie gładką, lecz ziarnistą. Na tle jasnym występują ciemniejsze, nieregularnie porozrzucane ziarneczka, t.j. groszkowatość, jaką widzimy na pewnych gatunkach skór.

Powstawanie i natura plam są, jak dotąd, tajemniczymi, ale badania tych zjawisk doprowadziły nas do dokładniejszego poznania natury samego słońca. Z tego powodu musimy cokolwiek lepiej przyjrzeć się plamom.

Nie zjawiają się one na powierzchni słońca odrazu, niespodziewanie; zanim się ukazą, powierzchnia gwiazdy dziennej burzy się widocznie; ukazują się na niej fale ognia, zwane pochodniami a błyszczące jeszcze jaśniej, aniżeli sama powierzchnia słońca. Po takiej burzy ognistej ukazuje się plamka, z początku mała, która rośnie coraz bardziej i po upływie pewnego czasu dosięga największych rozmiarów, które bywają kolosalne, jak na nasze ziemskie miary i pojęcia.

Plamy zajmujące 80 tysięcy km. kwadratowych¹⁾ nie należą do żadnych wyjątków, takie, które mierzą sto, a nawet 500²⁾ tysięcy km. kwadratowych niejednokrotnie obserwowano przez dalekowiedz.

Jeżeli zaś plamy można spostrzedz gołym okiem przez szkło zakopcone, to muszą mieć one jeszcze większe rozmiary. Średnica ich w takim razie dosięga parokrotnie wziętej średnicy kuli ziemskiej, powierzchnia zaś kilka razy przewyższa powierzchnie naszego globu.

Ciekawą plamę słoneczną obserwował dnia 5 października 1898 roku w dostrzegalni burz książd More (Moreux). Plama ta zjawiała się w sierpniu, zajmowała obszar 75 tysięcy km. kwadratowych, dawała się zaś widzieć przez kilka miesięcy. Wymieniony astronom specjalnie poświęcający się badaniom słońca i zjawisk zachodzących na jego powierzchni, dał nam wiele cennych rysunków, wyobrażających plamy słoneczne, z pomiędzy których dajemy jeden.

Ks. Moreux w następujący sposób maluje zjawisko:

„Nic nie może nam dać pojęcia o burzliwości, z jaką odbywa się powstawanie nowych plam. Olbrzymie strumienie a raczej chmury par rozpalonych do jasnej białości—przerzucały się przez tę grupę z jednego końca na drugi, jakby ją chciały zatopić w oceanie ognistym. Ale zaledwie te strumienie rozpalonej do białości materii dotknęły plam natychmiast znikły, ulatniając się znowu, jak kropla wody puszczone na rozpaloną blachę. Co kilkanaście minut można było dostrzedz jakąś zmianę. Niebawem pojawiła się pomiędzy niemi nowa olbrzymia plama, mierząca w średnicy przynajmniej 5 tysięcy km. a więc 250 tysięcy km. kw. obszaru. Zdumiewała mnie szybkość, z jaką przemykały po powierzchni plamy rozpalone mgły. Mierząc tę szybkość, doszedłem do ciekawych wyników.

„Nasze burze są niczem, igraszką dziecinną w porównaniu z temi nawałnicami ognistymi, jakie szaleją na słońcu. I tak np. na szczycie góry Puy de Dôme mierzono niejednokrotnie szybkość wiatru, i przekonano się, że podczas burzy dosięga ona często 70 metrów na sekundę to jest 252 km. na godzinę (36 mil). Burza słoneczna zaś, o której mówię, przebiega na godzinę 2800 km., to jest 400 mil.”

Rysunek nasz (Fig. 1) wyobraża wielką plamę słoneczną, z dnia 10 kwietnia 1904 roku, widzianą gołym okiem.

(d. c. n.)



(Ciąg dalszy.)

— Doskonale... To tam... Ale autor, czy autorowie listu dowiedzieli się potem, może w parę minut po wrzuceniu kamyczka o śmierci owego d'Aubry. Przeszukali więc rzeczy jego i pańskie, zabierając parę przedmiotów bez wartości, aby tym sposobem nieporządek przez nich zrobiony mógł być przypisany zwykłemu złodziejom.

— Chcieli zabrać list...

— Może być... Zapewne są przekonani, że odczytać go niepodobna. Prędzej, chcieli znaleźć jakąś wskazówkę, gdzie zostały ukryte brylanty przez owego d'Aubry...

— Nazajutrz po jego śmierci, policja prze-

¹⁾ 1600 mil kwadratowych

²⁾ 100000 mil kwadratowych.

trząsnęła jego rzeczy, bez skutku... Zatem, aby stać się posiadaczem wielkiej sumy, muszę tylko odnaleźć brylanty?

— Naturalnie... Hamburg, choćby nawet w to nie wierzył, odpowie panu, że „dobrze“ i to z radością!...

— A wielkie Z?...

— Najpewniej początkowa litera nazwiska tego, kto list wysyłał...

Henryk zerwał się, uniesiony zapalem.

— A więc, dobrze! Ponieważ ta banda złodziei — musi to być cała banda — naznaczyła spotkanie lokatorowi owego pokoju — będą dziś wieczorem, przed dziewiątą w zajeździe Kolonia. Gdy przyjdą... zobaczymy!

Niebieskie oczy Ewelinki powiększyły się ze wzruszenia.

— Tak, trzeba być! Tylko niech pan się strzeże... niech pan się strzeże!...

— Cóż mi zrobić?... Ach, panno Ewelino, pani to będę zawdzięczał... — zaczął Henryk.

— Cicho! otóż i miss... Niema za co dziękować... Odgadłam rebus i nie więcej.

Miss Edyta zbliżała się powoli, czytając książkę przy ostatnich czerwonych blaskach zapadającego dnia. Henryk zaczął znów mówić ciszej, nieco:

— Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego pani była dla mnie tak mało uprzejma aż dotąd... i dlaczego pani taka dobra od dziś rana?... Proszę, niech pani powie, koniecznie.

Ewelinka wahała się przez chwilę, wreszcie z oczami utkwionymi w książkę odrzekła:

— Ee... nic wielkiego... Nie wiem... Wszystkie moje przyjaciółki mówiły o panu... że pan dobrze gra w tenisa, że pan umie się boksować... że z pana prawdziwy sportsman i... że pan jest dzielny chłopiec... Drażniło mnie to strasznie! Lubiłam bawić się z panem, ale być miłą... w żaden sposób nie mogłam. Dopiero, gdy od miss dowiedziałam się, że wuj pana taki srogi, że pan będzie gryzipiórkiem, pan, który... o wtedy zapragnęłam przyjaźni z panem! Proszę, niech pan uważa na siebie dziś wieczorem!

Henryk nie mógł odpowiedzieć, miss Edyta bowiem rozpoczynała melancholijny hymn pochwalny na cześć zachodzącego słońca.

Przyjaźń z Ewelina!... Przygody!... Może majątek w przyszłości... Henryk tracił przytomność ze szczęścia. Przy wspólnym stole w hotelu był naprzemiany to śmiesznie ożywiony, to roztargniony niezwykle. W swoim pokoju, wdziwając kostjum rowerowy, porównywał się do bohaterów znanych powieści. Od chwili jednak, gdy wziął się do oglądania swego motocyklu, odzyskał całą zimną krew: Świeca?... czysta... Akumulatory?... naładowane...

Dobrze, światło w porządku! Benzyna?... pełno w rezerwoarze. *All right!* Skoczył na siodełko, poruszył kilka razy pedałami dla wywołania pierwszych eksplozyi, odkręcił gaz, uregulował ciśnienie i wnet domy i jabłonie, majaczące jak widma po obu stronach drogi, zaczęły uciekać jak szalone w przeciwną do kierunku jego jazdy stronę. Wiatr szalał w ciemnościach czarnej, głębokiej nocy, jęczał i wył w gałęziach drzew i zaroślach. Lunał gwałtowny deszcz. Henryk musiał zwolnić, choć na drodze było przerażająco pusto. Po 5-ciu kilometrach, przebywszy strome wzgórze, ujrzał w dali światło. Był u celu.

Zamknął kran od benzyny, wyciągnął ramię transmisji i zaczął bez hałasu poruszać pedałami.

Zajazd na przystanku. Ewelina miała rację.

Przy drodze coś ciemniało. Był to zajazd. Henryk cicho zsiadł z motocyklu.

Na jedynym piętrze domostwa promienie światła wymykały się z zamkniętych prawie okienic. Zresztą — żadnego innego znaku życia. Henryk zbliżał się, uważając na wszystko. Pod oświetlonym oknem ujrzał rodzaj szafy. Wsunął w nią swój motocykl, ociekający wodą i z macierzyńską prawie troskliwością wytarł osie.

Nagle natknął się na jakiś wielki, twardy przedmiot. Ostrożnie wyciągnął rękę i pomaçał w ciemności. Tuż przy nim znajdował się automobil na cztery osoby o szybkości 50 koni parowych, wspaniałość, jednym słowem! Motor jeszcze ciepły wskazywał, że maszyna tylko co była używana.

A więc Ewelina nie myliła się! Ani ten nędzarz, karczmarz, ani żaden z jego biednych klientów nie mógł posiadać samochodu, podczas gdy współnicy tego d'Aubry byli prawdopodobnie bogaci.

Henryk musiał powściągać zbyt wzruszenie: napróżno szukał językiem śliny w wyschłych nagle ustach, ręce mu drżały... Znał już podobne uczucie: doświadczał go, stając do boksowania w konkursach paru szkół i mając przed sobą trudnego do pokonania przeciwnika. Ale tak, jak i wtedy, zapanował nad tremą. Kto nic nie ryzykuje — nic nie wygrywa!

Obszedł dom dookoła. Nad czarnym, pustym sklepem skrzypiał na wietrze szyld, na którym Henryk odgadywał słowa, często czytane podczas spacerów: „Zajazd Kolonia“. Na drugim końcu i na drugiej stronie domu — żadnego światła.

Powrócił do szopy. Niepewny szmer rozmowy zdawał się dolatywać z oświetlonego okna. Jak dosięgnąć tego okna? Wyciągnął

nieco z szopy samochód i użył go jako sto-
pnia. Za chwilę był już na dachu szopy i —
miotany wichrem, oblewany strumieniami desz-
czu — przykładając okno do szpary w okienicy.
Poza nią jedna połowa okna była niedomknię-
ta... Gromadka osób rozmawiała w nędznej
sypialni wiejskiej, około stołu, zarzuconego
resztkami jadła.

Henryk słyszał wyraźnie co mówili, po-
mimo szalejącej burzy. Nie mógł ich jednak
dobrze rozróżnić, ponieważ byli otoczeni gę-
stym dymem od papierosów, a. na zamkniętej
połowie okna zwieszała się firanka.

Przyjemne towarzystwo. Okradzeni złodzieje.

— To doprawdy wielka szkoda, że La-
fouine nic dobrze nie wie — mówił jakiś głos
z lekkim akcentem angielskim.

— A bo co! pan Vernier kazał mi wrzucić
zaraz list przez okno hotelu... pierwsza rzecz,
którą zrobiłem po powrocie... potem dopiero,
matka Vandenne, tu obecna, powiedziała mi, że
ten d'Aubry utopił się!...

Ochryply i rozwlekły głos mówiącego na-
leżał z pewnością do jakiegoś włóczęgi z Pa-
ryża.

— Vernier, czy przynajmniej — zaczął
znów głos pierwszy — list twój dobrze był
ułożony?

— Och, mój drogi, byłem przecie rejen-
tem! — odpowiedziała jakaś osobistość, której
Henryk widział tylko plecy.

— W Nouméa*) on zajmował się naszą
korespondencją... i kradł nam marki!

— Cicho, stara. Czy pewny jesteś, Ver-
nier, że terazniejszy lokator pokoju nie mógł
nic zrozumieć?

— Zupełnie pewny! Gdy d'Aubry od-
siadywał karę, korespondowaliśmy w ten spo-
sób. Dozorcy niczego się nie domyślali. Mó-
wi się niby o deszczu i pogodzie, a można
wszystko wyrazić.

— Ale, panie Vernier, czy d'Aubry czę-
sto pisał panu o brylantach? — zaczął skrze-
czącym głosem jakiś obywatel z Marsylii, jak
można było sądzić po akcencie.

— Robił aluzyje, ale nic pewnego.

Głos z akcentem angielskim odezwał się
znowu:

— Ja też wiem bardzo mało. D'Aubry
był sprytny. Udało mu się z naszą pomocą
zdobyć brylanty i uciekł do Francji, ale za-
nim mogliśmy się z nim zobaczyć, już go
schwytano i osądzono. Przez czas uwięzienia
dostarczaliśmy mu tyle pieniędzy, ile tylko

zażądał, ponieważ w listach swoich do Vernie-
ra oświadczał zawsze, że jak tylko będzie wol-
ny, zaraz odszuka brylanty we Francji, wy-
dobędzie je z kryjówki i podzielimy się nimi
według umowy. Ale zmusić go, aby wskazać
ukrycie — nie było sposobu! A przecie wie-
dział, że w naszym zgromadzeniu uczciwość
jest prawem! Używał sobie tedy na nasz koszt
i, zaledwie go puścili, wrócił do Francji. Pan
Harry Strong, tu obecny...

Niezrozumiałe mruczenie było odpowie-
dzą na dźwięk tego imienia. Mruczenie wy-
dobywało się z podróżnego płaszcza, z podnie-
sionym aż do brzegów kapelusza kołnierzem,
co wszystko razem kogoś zapewne okrywało.

— Pan Harry Strong miał go spotkać
w porcie New-Yorskim i dać mu się poznać,
za pomocą zwykłego naszego znaku — bo pan
Strong przyłączył się do nas ostatni i nie znał
d'Aubry'ego. Naprawdę jednak wysłaniec nasz
starał się dać się poznać, rysując bez końca
w powietrzu literę Z palcem wskazującym.
Nikt mu nie odpowiedział! Działo się to cztery
miesiące temu. Teraz niedawno dają mi znać,
że d'Aubry osiedlił się pod fałszywym nazwi-
skiem w nadmorskiej miejscowości Finisteru*).
Sprowadzam was wszystkich, a ten topi się
i drwi sobie z pogroźek, które przecie zmusi-
łyby go inaczej do zdania nam poważnych ra-
chunków.

— Jakim sposobem utonął?

— W czasie przejażdżki łodzią... Policja
przeszukała jego kufrы i brylantów nie znala-
zła. To znaczy, że ich jeszcze nie wydobył
z ukrycia.

— I ja dostałem się do hotelu i szukałem
wszędzie w rzeczach. Nic a nic!..

Zgromadzenie było całkiem międzynaro-
dowe. Włoski akcent ostatniego mówcy przy-
pomniał Henrykowi Neapolitańczyków, przy-
wożących słodycze na małych wózekkach przed
szkołą Rollin'a w czasie, gdy uczniowie wy-
chodzili.

— Briello też nic nie znalazł... To było
do przewidzenia... A zatem całą naszą wska-
zówką jest kilka ustępów z listów d'Aubry'ego.

— Cóż można z nich zmiarkować? — spy-
tał głos marsylijszyka.

— Nic wielkiego... są to oderwane zdania
w tym rodzaju: „Brylanty? Naturalnie, że są
ukryte w dobrym miejscu”. Albo: „Chyba gdy-
by je ryby lubiły”... Albo: „schowałem je
w dziwnym mieście... W mieście, do którego
nikt nie chodzi... Bóg sam ich pilnuje”...

*) Nouméa, miejscowość na wyspie Nowej Kale-
donii (Australia), dokąd Francuzi zsyłają przestępców.

*) Departament we Francji, utworzony z części
Niższej Bretanii, leży nad oceanem Atlantyckim i ka-
nałem La Manche.

Utyskiwania członków bandy. Zdrada.

Henrykowi, słuchającemu za oknem здавало się, że jest ofiarą jakiegoś przywidzenia. Cóż to za straszny stek złoczyńców! Sprawozdania sądowe i powieści opisują coś podobnego, ale pomiędzy książką, a rzeczywistością!.. Deszcz przestał padać. Wśród ciemno-żółtawych olbrzymich chmur przebłykiwała nawet drżąca wiązka promieni księżycowych.

* * *

Ostatnie słowa, wyrzeczone głosem, który miał lekki akcent angielski, zostały przyjęte wykrzyknikami. Ten d'Aubry drwił sobie wyraźnie z kolegów! Prawda, on wynalazł „interes” w czasie swej podróży. Ale kto mu dostarczał wbród pieniędzy, aby miał za co wrócić do Ameryki i zaangażować się jako tłumacz do jubilera?... A potem tyle wydawał dowoli w więzieniu?... Oni, koledzy, okpieni dziś bez litości!..

Ostry głos Lafouin'a przeniknął wrzawę ogólną, jak mały flet, który potrafi zapanować nad całą orkiestrą.

— Jedno tylko jest jasne: d'Aubry musiał mieć w walizie papiery, wskazujące kryjówkę i może mówiące o nas. O ile sobie przypominam był typem biurokraty, lubił zapisywać... z pewnością napisał tak, że moglibyśmy zrozumieć. Gdy kryjówka jest trochę skomplikowana — strach zawsze zapomnieć czegoś. Przysięgam, żeby ją odnaleźć... ma się znaki, które trzeba zapisać... Z pewnością papiery te istnieją..

— Jeśli p. Briello nic nie znalazł, to znaczy, że chłopiec, zamieszkujący pokój d'Aubry'ego, przeszukał rzeczy i zabrał wszystko..

— Ten młodzik wydaje się sprytniejszy niż żandarmi, którzy pierwsi rzeczy te oglądali. Ponieważ walizy stały w jego pokoju, nie krępował się napewno — potwierdził marsylijszy, który widocznie sądził Henryka według siebie.

— W każdym razie, to możliwe... Znaczyłyby więc, że on posiada wskazówki, co do miejsca ukrycia brylantów, albo gorzej jeszcze, co do nas — powiedział głos z akcentem angielskim 1.

— A więc grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo...

— Bezwątpienia, i jemu to zawdzięczamy.. O... a to co?!..

Głos milkł, wobec przerażonego ruchu jednego z obecnych i nagle... wszyscy rzucili się do okna...

Światło księżyca rysowało od pewnego czasu cień głowy i ramion Henryka na okienicy..

Odwrót w porządku. Potężny cios.

Ujrzeni go w chwili, gdy zniknął już z dachu. Zobaczywszy, jak biegną ku oknu, zrozumiał, że należy mu uciekać niezwłocznie.

Na dole, namacał w ciemności swój motocykl, ale o zgrozo! rzemień był nienasunięty, więc miał posilkować się motorem musiał poruszać nogami maszynę, ważącą 50 kilogr.

Niech tam! byle jaknajprędzej znaleźć się w pewnej odległości od bandy, która z wyciem pędziła po schodach... Gorączkowo poruszając pedałami, przebył około stu metrów, ale ta zła zwykła droga była jeszcze gorsza wskutek błota. Przypadł pod cień jabłoni przydrożnej — bo światło księżyca obejmowało już całą okolicę — i zaczął nasuwać rzemień transmisji.

Pośpiech mu jednak przeszkadzał; palce osuwały się po bloku od transmisji, przycinał je sobie kilkakrotnie. To go wstrzymało. Tam, koło złowrogiej karczemki, jakieś światło migotało wśród kręcących się cieni... Jedna z ciemnych postaci odłączyła się i zaczęła biec drogą w kierunku, gdzie znajdował się Henryk... Już, już miała go minąć, gdy nagle — spostrzegła go i, wydając okrzyk, rzuciła się ku niemu...

W tej chwili właśnie rzemień dał się wreszcie nasunąć. Henryk, podnosząc się, ujrzał przed sobą szeroką twarz z kościstymi policzkami, wygoloną, z małą tylko bródką i dwie olbrzymie, potworne ręce, szeroko otwarte...

Mistrz bokserów szkół paryskich i kapitan gry w „football” w szkole Rollina, czekał spokojnie na przeciwnika... w stosownej chwili, wymierzył mu nogą potężny cios w piersi, tak pewnie, że wydało mu się, jakby go prawie nie dotknął, podczas gdy człowiek z bródką amerykańską leżał już twarzą na ziemi, brocząc we krwi i drapiąc grunt palcami.

Sporty wzmocniły Henrykowi nerwy i muskuły. Bez najmniejszego wzruszenia pomyślał sobie: „Kundell!.. Charlemont byłby ze mnie zadowolony, a wymyślał mi zawsze za ten „cios piętą”. Zmykajmy!

Skoczył na siodelko i benzynowy motor żelaznego wierzchowca zaczął działać odrazu.

Słyszał jednak, że tam puszczano w ruch motor samochodu. Gdy, przebywszy mniej więcej kilometr drogi, obejrzał się — dygocąca masa pędziła prosto na niego!

Zle!.. Był właśnie na pochyłości wzgórza; zwiększył siłę motoru, zjechał z błyskawiczną szybkością, jakby spadał w przepaść... Gdy jednak wypadło wjeżdżać pod górę — musiał zwolnić i nawet użyć pedałów. Samochód przybliżył się znacznie...

(d. c. n.)



MOWA OJCZYSTA.

Dziatwie poznańskiej poświęcone.

Święte słowo,
Ojców mowo!
Tyś nam przecie
Jedna w świecie.

W twoim dźwięku
Nam nuciła
Matka miła,
Gdy na rękę
Nas tuliła —
W tobie szczerze,
Mowo droga,
Słem pacierze
Przed tron Boga. —
Proboszcz stary

Uczy wiary —
Ojciec dawne
Dzieje sławne
O wojenkach
Opowiada,
Aż wyskoczyć
Dusza rada!

Twój dźwięk wokoło
W naszej chacie
Brzmi wesoło:
„Siostról!” „Bracie!”
I w drużynie
Piosnką płynie,
I w łzach nawet

Jest pociechą
Bratnie echo.

Mowo złota!
Sam Bóg w niebie
Dał nam Ciebie,
Skarb żywota!

Niechże wszyscy
Dalsi, bliscy,
Ciebie znamy
I kochamy,
Święte słowo:
Polska mowo!

Zofia Mrozowicka.

TERESA JADWIGA.

AULUS MARCUS.

POWIEŚĆ Z CZASÓW AUGUSTA.

(Ciąg dalszy.)

— Uczynię państwo jeszcze rozleglejszem,
jeszcze potężniejszym — rzekł Tyberyusz — siłą
moją będzie posłuszeństwo ludu.

To powiedziawszy zamilkł, wpatrzyli się
znowu obadwaj w krwawe morze, Tyberyusz pierw-
szy przerwał to milczenie.

— Szalenciec ze mnie! — wykrzyknął naraz
— roję o władzy, do której zazdrośni nigdy
mnie nie dopuszczają... Siódmy rok dobiegą od
dnia mego wygnania; wielki August każdego ro-
ku przysyła mi przez usta twoje pociechę, że
gdy pożądane wieści będzie nadal odbierał o mnie,
skróci moją karę, a tymczasem Germanikusa na
swego zastępcę przygotowuje zape-
wne, a ty mu służysz w tej nędznej
robocie i oszukujesz mnie. Nienawi-
dzę cię, rzucę cię w przepaści morza,
uzbroję wyspiarzy, których serca
zdobyłem, wrócę do Rzymu, wstrzą-
snę władzą Augusta. Germanikusa
przykuję na łańcuchu u bramy me-
go pałacu i jak psu każę strzedz
siebie.

Tak utyskiwał chciwy władzy, znu-
dzony wygnaniem Tyberyusz.

Aliści dola jego miała się zmienić,
czy na szczęście jego i ludzkości,
któż mógł wówczas zgadnąć.

Nazajutrz już przybyli do Rodos
Germanikus i Agryppa, aby na żą-
danie sędziwego cezara zawezwać
uлюбionego pasierba do stolicy. Cezar
chciał przed zgonem pojednać się
z całą rodziną i pomimo wszystko,
ulegając woli żony, przekazać wła-
dę po sobie Tyberyuszowi.

Mieszkańcy Rodos tłumnie od-
prowadzili swych kilkoletnich go-



Artur Grottlger.

Wygnańcy. (patrz str. 49.).

SZKOŁA ROSYJSKA W DAWNYCH CZASACH: I. (p. str. 491).



ści do przystani i okazywali szczerzy żal przy rozstaniu.

Tyberysusz wszedł na galeryę z głową dumnie podniesioną, jakgdyby był już cezarem; a gdy rzucił się w kajucie na łożo, począł roić o przyszłości.

— Będę skąpy dla siebie, jak wielki August — mówił — będę szczodry dla Rzymu i sprawiedliwy dla wszystkich, wzniosę nowe świątynie, cyrki i łaźnie, rozszerzę granice państwa; ujarzmię German, potem inne ludy, Europę i Azyę, świat cały posiadę!

— Snać omijały Rodos wieści, jakie od pewnego czasu dochodzą nas z Azyi, gdy tak śmiałe plany snujesz — odezwał się z odcieniem lekkiej ironii Agryppa.

— Cóż to za wieści? — zapytał Aulus.

— Wiadomem ci chyba jest, iż od lat 4000 krążyły już po ziemi głuche wieści, że ma się narodzić jakowyś Zbawca świata, przed którym wszystkie narody ukorzą się. Otóż wielu utrzymuje, iż dzień ten już nadszedł, że dana obietnica przez Boga, którego zawsze czcili Judejczycy, spełniła się na ich ziemi.

Mówią, że owym Zbawcą przyszłym królem świata, jest jakiś młody prorok, Jezus z Nazaretu, który zadziwia podobno wszystkich mądrością swą i tajemniczą władzą.

Tyberysusz zerwał się gwałtownie.

— Niechby się ważył przeciw-

mnie podnieść oręż — odezwał się posępnym głosem, a potem dodał z groźbą:

— Młodzieniec ten jest w rękach naszych, albowiem kraj jego jest prowincją rzymską.

Aulus zaś począł z zajęciem dopytwać się o owego proroka, lecz tak Agryppa jak Germanikus więcej powiedzieć mu o nim nie umieli nad to, że pochodzi z rodu dawnych królów Judei i obcuje chętnie z wymownym Janem, synem kapłana świątyni, Zacharyasza, który właśnie głosi jego przyszłe powołanie.

— Teraz wiem, co cię pociąga do Judei, to nie Perikles, ale Jan i ów Jezus — odezwał się naraz Tyberysusz, wlepiwszy w Aulusa szydercze spojrzenie. — Może masz

nadzieję, że gdy królem świata zostanie, uczyni cię swoim doradcą.

Aulus zmarszczył czoło.

— Nie zapieram się, iż silne wywarł na mnie wrażenie.

— Znasz go? — zapytali ze zdziwieniem Germanikus i Agryppa.

— Widziałem go raz, gdy chłopięciem jeszcze byłem i wtedy zdobył moje serce — odparł Aulus, poczem opowiedział o spotkaniu z trędowatym.

Nie zrobiło to jednak wrażenia na Rzymianach, a Tyberysusz słuchał go z szyderczym uśmiechem.

— Wy go nie znacie, to Esseńczyk z przekonani i wielbiciel Jana syna Zacharyasza i in-

SZKOŁA ROSYJSKA W DAWNYCH CZASACH. II. (p. str. 491).



Великій человекъ въ немѣ обучился ,

nych barbarzyńców wschodnich — rzekł, gdy Aulus skończył opowiadać.

Wreszcie dopłynęli do Italii i przybyli do Rzymu. Tyberyusz radośnie był witany, jako przywrócony do łaski cezara; nie brakło dawnych i nowych przyjaciół. Syn jego, Druzus, oczekiwał ojca, otoczony licznym orszakiem. Pospólstwo witało go okrzykami:

— Witaj, Tyberyuszu!

— O Fortuno i miłości ludu, jakże zmienne jesteście — myślał w duchu Tyberyusz z ironicznym uśmiechem, lecz pragnąc upoić się popularnością, jechał przez Forum Romanum. Był to ranek pogodny: na obszernym tym placu nie brakło przechodniów z wyższych sfer. Wśród marmurowych kolumn przechadzali się poważnym krokiem senatorowie w białych i purpurowych togach. Patrycyuszki strojne w kosztowne materye, dziewice barwne, jak motyle, dążyły w lektykach do sklepów i magazynów.

Tyberyusz wybiegł wzrokiem niecierpliwie naprzód i szeptał do siebie.

— Niezadługo lud ten będzie wołał:

„Chwała cesarowi, boskiemu Tyberyuszowi!”

W atryum pałacu Augusta oczekiwali węgnańca matka jego Liwia, żona Julia i dwór cały, szczere wzruszenie wzbudziło się teraz w sercu tego dziwnego człowieka, pochylił się do nóg matki i szepnął:

— Łaskawe były bogi Rzymu dla twego syna.

— Albożeś się nie stał już godzien ich łaski? — odparła Liwia.

Rumieniec wstydu wystąpił na twarz Tyberyusza.

— Gdzież cesarz? — zapytał, unikając odpowiedzi.

— W cubiculum — usłyszał odpowiedź — czeka na ciebie.

I powiodła go do sypialni męża. August powitał go serdecznie.

— Bądź pozdrowiony w moim domu — rzekł — powrót twój wlał we mnie życie, zasiadę z wami do uczty, którą na twoją cześć przygotować kazałem. Może przedłuży dni moje twój widok, Tyberyuszu. Wdzięczny byłbym bogom, gdybym mógł jeszcze wtajemniczyć cię w arkana najwyższej władzy.

— O jakże bogowie są na mnie łaskawi — odparł Tyberyusz, zginając mimowoli kolano — że zdrowym cię zastaję, i słyszę słowa przebaczenia z ust twoich, a jam tyle zawinił.

— Nie mówmy o przeszłości, lecz o przyszłości — rzekł August łagodnie.

I począł snuć plany, przedstawił Rzym tak potężnym, a lud jego tak szczęśliwym, iż wszyscy słuchali go z oczyma płonącymi i nikt w tej

chwili o sobie nie myślał, tylko o tej wielkiej społeczności rzymskiej, której czuł się częsteczką.

Cezar podniósł się wistocie z łoża, przeszedł do triclinium i zasiadł do uczty, jadł ostrożnie, lecz wina całą czarę wychylił na cześć przysłego cezara, to podnieciło go więcej.

— Sto lat panować nam jeszcze będziesz cesarze — odezwał się wesoło Agryppa.

— Wątpię — odparł August dziwnie nagle zmienionym głosem — podaj mi ramię, słabo mi — dodał — wróć do cubiculum.

Agryppa pośpieszył natychmiast na wezwanie, Liwia podniosła się również, podjęli pod ramiona chwiejącego się starca i wyprowadzili z sali, Germanikus podążył też, Tyberyusz powiódł za nimi posępnym wzrokiem.

— Pochlebcy — mruknął.

I oczem schwycił czarę z winem i w górę podniósł.

— Piję na cześć wesołości! — zawołał — cesarz się wyśpi i zdrów jutro się obudzi, nie psujmy sobie życia bezpotrzebnie, od siedmiu lat nie ucztowałem w Rzymie!

— Nie psujmy sobie życia! — powtórzyli inni, chwytając również za czary.

Zmącona chwilowa wesołość, powróciła; gwarniej nawet zrobiło się jeszcze przy stole.

Aulus chciał w pierwszej chwili pośpieszyć za cesarzem, lecz Tyberyusz zatrzymał go.

Pozostał, ale wesołość wzmagająca się, przykra mu była; przyjaciele Tyberyusza śmieli się coraz głośniejsze, coraz dosadniejsze żarty rzucać, coraz nieprzytomniejsze były ich spojrzenia. Aulusowi przypominać się zaczęły wstrętne ucztę pijackie, na jakich bywał u Tertuliusza, głos wewnętrzny, głos dobrego człowieka szeptał mu:

— Uchodź stąd!

Lecz wahał się i namyślał.

Wtem dały się słyszeć w przyległej komnacie kroki; po chwili na progu triclinium stanął Germanikus, obok niego Druzus, syn Tyberyusza, obaj byli niezmiernie poważni.

— Cezar wzywa wszystkich do siebie — odezwał się Germanikus.

Pierwszy porwał się Tyberyusz, za nim inni; cisza salę zaległa, tylko kroki śpieszących do sypialni chorego, rozlegały się głucho; lecz gdy przestąpili próg cubiculum cezara, uroczysty nastrój opuścił większość.

Boski August siedział na łożu uśmiechnięty, gładził włosy i spoglądał wesoło po wszystkich.

— Czyż nie dobrze odegrałem komedię życia — odezwał się do wchodzących — okażcie mi swoje zadowolenie i bijcie oklaski.

— Jakże to przykre — szepnął Aulus do Tyberyusza — on jest nieprzytomny. Lecz tamten uśmiechnął się szyderczo i w dłonie uderzył.

— Chwała boskiemu Augustowi — zawołał:

— Chwała! chwała! — poczęli wołać jego przyjaciele.

Wrzawa jakgdyby ocknęła umierającego; w oczach jego zaświecił niepokój, zachwiał się i upadł na łożo.

Agryppa, który stał tam przy nim pochylił się.

— Już skonał — rzekł wzruszonym głosem po chwili, podnosząc się zwolna.

W komnacie rozległy się szlochania niewiast i dzieci.

Liwia przypadła do męża i poczęła całować jego stygnące ręce, wołając:

— Nie odchódź jeszcze!

Julia rozerwała purpurową swoją szatę i z udanym żalem powtarzała:

— Nieszczęsna ze mnie córka, która na tyle dni życia jego cień rzuciła!

Jęki te i szlochania przeszły z cubiculum do dalszych komnat pałacu, posłyszeli je niewolnicy cezara i zawtórowali:

— *Eheu! eheu! me miserum.* (Biada, biada, mnie nieszczęsnemu) rozlegało się zewsząd.

Z pałacu wołanie to bolesne na ulicę wybiegło; lud załkał nad śmiercią Ojca Ojczyzny. Mężczyźni wyrwali sobie włosy z głowy i na wzgórze Pałatyńskie biegli, kobiety drapały sobie twarze do krwi.

— *Eheu! eheu! me miserum!* rozlegało się coraz potężniejszym jękiem.

Rzym bolał szczerze nad śmiercią pierwszego swego cezara, Oktawiusza, który imię boskiego Augusta zdobył sobie przymiotami serca i rozumu: *Augustus* oznaczało w języku Rzymian coś błęgiego, prawie świętego; boski (*divus*), iż bliskim jest bogów.

I Tyberyusz okazywał boleść wielką za przykładem Julii powtarzał:

— Nieszczęsny ze mnie syn!

W powszechnym popłochu nie stracili przytomności tylko Agryppa, Germanikus i Aulus. Trzeba było urządzić pogrzeb godny takiego męża.

Wkrótce odbyła się uroczystość pogrzebowa. Po spaleniu zwłok i złożeniu ich do urny, wzniesiono posąg Augusta dla uczczenia jego pamięci, a przed posągiem ołtarz dla składania na nim ofiar, jako jednemu z bogów.

Tak uczcił Rzym tego, któremu zawdzięczał uspokojenie, pokój i potęgę, a zarazem i bogactwo ludu.

Rzym w wieku Augusta stał się stolicą świata, ogniskiem cywilizacji. Wiek Augusta potomni „złotym wiekiem“ nazwali.

Nazajutrz po pogrzebie Aulus zapowiedział rano swoim niewolnikom, aby poczynili przygotowania do dalekiej bardzo podróży; w południe zaś wybrał się do Tyberyusza, by go pożegnać.

Nie chciał dłużej zwlekać.

— Jestem mu już niepotrzebny, Germanikus i Agryppa będą teraz czuwać nad nim, jeśli ich słuchać zechce — mówił do siebie.

Zastał nowego cezara w cubiculum, błądy był i widocznie zgnębiony, powitał go obojętnie, lecz gdy Aulus rzekł:

— Przyszedłem cię pożegnać, jadę na Wschód.

Tyberyusz zerwał się z miejsca.

— Nie odjedziesz, nie zezwolę na to — zawołał tonem rozkazu.

Aulus zmieszał się.

— Czy potrzebny ci teraz jestem? — zapytał — mnie serce rwie się do starego przyjaciela.

Tyberyusz spojrzał mu badawczo w oczy, dostrzegł, że Aulus ochłodził dla niego, więc chciał go ująć serdecznością:

— Nie odstępisz mnie w chwilach tak ciężkich. — rzekł tonem proszącym teraz — Germanikus i Agryppa nie lubią mnie, ja im nie ufam, a tobie w zupełności. Potrzebny mi jest przyjaciel, któremu powiem każdą myśl swoją, każdą troskę, w którego życziwe rady wierzę. Pozostań choć rok jeszcze ze mną, zobaczysz, że za przykładem Augusta będę kroczył. Gdy senatorowie, powróciwszy z pogrzebu boskiego Augusta, hołd mi oddali, jako nowemu imperatorowi, odpowiedziałem im, że lękam się zaszczytu, którym uczcić mnie chcą, iż Roma jest zawięta dla mnie, a rządy nad tak potężnym państwem za trudne... Uległem jednakże, bo mnie błagali, lecz jeżeli ty odjedziesz, cofnę się może, a wówczas pomyśl, jakie będą następstwa tego kroku: Rzym podzieli się na stronnictwa, jedni Germanikusa wybrać będą chcieli, drudzy Agryppę, a zapewne utworzy się jeszcze trzecie stronnictwo... Przez pamięć boskiego Augusta nie usuwaj się od pracy, do której cię powołuję.

Aulus spuścił głowę.

— A więc nie wyjadę — odparł.

Spojrzenie Tyberyusza rozjaśniło się.

— O jakże wdzięczny ci jest cesar — rzekł.

(c. d. n.)



WOJTUŚ I EWUNIA.

Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach.

(*Ciąg dalszy.*)

Pan Maciej (oddychając głęboko). Miłosierdzie Maryi na demną (wznosi ręce do nieba. Ty, Panienko Częstochowska, ty, Królowo Korony Polskiej, wiesz, że nie o życie wnuka do Ciebie się modliłem najgoręcej, tylko aby nie zaparł się swej wiary i ojczyzny.

Wojtuś (z powagą). Bóg nagroził waszą cnotę, panie Macieju.

Pani Agata (do pana Macieja). I ja mu wyrażam gratulacyą z tak pomyślnej odmiany fortuny.

Pan Maciej (który teraz dopiero spostrzegł panią Agatę). Co widzę? waszmość panna w kuźni! i milczałaś jak ryba, chociaż cnota silentium nie jest ci przyrodzona, mociumdzieju!

Ewunia (zagadując). Wszyscy tu jesteśmy, panie Macieju, i wszyscy cieszymy się z powrotu Jaśka, a teraz ciotuchna, jako grzeczna gospodyni, zaprosi pewnie nas na krupnik i zrazy, bo Jasiek musi być głodny (słychać śpiew chóralny za sceną):

„Dalej chłopcy, dalej żywo!
„Otwiera się dla nas żniwo,
„Niech kobieta gospodarzy,
„Niech pilnują roli starzy,
„My parobcy, zagrodniki,
„Bierzmy cepy, kosy, piki,
„Dalej chłopcy, dalej żywo!
„Otwiera się dla nas żniwo!

Pan Maciej (nasłuchując). To moi kosynierzy! Czemu oni tu wracają, kiedy rozpuściłem ich wszystkich do chat.

SCENA VIII.

Wchodzą *Karol*, *Jakób*, *Wawrzon*, prowadząc *pana Bartłomieja Werębkę*, dworzanina Wojewody Działyńskiego. Tymczasem przed kuźnią formuje się cały oddział kosynierów z *Zagają*.

Pan Bartłomiej. Czołem przed godną kompanią, której miałem zaszczyt przedstawić już powolne moje służby, kiedy ja dworzanin JWielmożnego Wojewody przywiozłem waszmość państwu skrypt Imci Pana Cześnika. Dzisiaj atoli inną piastuję szarżę, ordynansem generała Madałińskiego będąc, wzywam wszystkich cnotliwych obywateli przeszławnej Rzeczypospolitej, aby łączyli się z nim nie mitrząc i na żadne ekskuzy sobie nie pozwalając.

Wojtuś (występuje na przód sceny i mówi z godnością). Czekaliśmy z utęsknieniem na ten

rozkaz, zarówno ja, który pałam chęcią dania pomocy rodzicowi, jako i wszyscy ci kosynierzy.

Wawrzon. Ktoby ta długo sumował! Kiej iść to iść, kiej bić to bić!

Jakób. W garść plunąć, kosę mocno ująć i do košby!

Ewunia. Zuchy! lubię takich.

Karol. My wszyscy, panienko, gotowi na żniwo za ojczyznę, choćby też wszyscy martwemi kłosami mieli ledz na krwawej niwie. Ale niech panienka pamięta o naszych siostrach i starych rodzicach, bo do chaty głód łatwo zagląda.

Ewunia. Przysięgam dzielić się z nimi ostatnim kawałkiem chleba.

Wojtuś (niecierpliwie). Zatem mów już waść, panie Bartłomieju, gdzie i kiedy stawić się mamy do generała.

Pan Bartłomiej. On sam przybędzie tu niezadługo ze swą dywizją. Wyprzedziłem ją o pół dnia drogi, żeby oznajmić waszmość państwu, iż wiedziony szczególnym afektem dla imci pana Cześnika, umyślnie generał Zagaje wybrał na locum chwilowego postoju i stąd już wprost ku Krakowa wyruszy.

Parobcy. A my z nim do Naczelnika!

Ewunia (podbiegając do pani Agaty). Ach, cioteńko, kto miał słuszość? czy nie przydadzą się moje zapasy, czy ja nie przezorna gospodyni. są szynki wieprzowe, ryby solone, półgęski, kiełbasy, bigos co za bigos! (do pana Macieja) słyszysz kochany Maciusiu, będę bigosem przyjmowała generała, który kocha tatusia i chce go ratować z więzienia.

Pan Maciej (stał cały czas oparty na Jaśku, teraz budzi się z zamyślenia). Czy ja spałem Ewuniu, czy to majaki i mentum?

Pan Bartłomiej. O jakich majakach prawisz waszmość?

Wojtuś. Mój dobry opiekun odzyskał wnuka i nie wierzy jeszcze swemu szczęściu.

Pan Bartłomiej. Taką to radość spotkała waszeci, gratuluję, gratuluję i dzielę afekta czciwego rycerza barskiego.

Pan Maciej (wciąż rozmarzony szczęściem). Rycerz barski, tak, Sodalis Marianus, tak! (bierze rękę Jaśka i prowadzi jego palce po szramie nad czołem) Czujesz tę bruzdę? wyrwał ją bagniet pod Częstochową, a te tu dziury to od'kozackiej piki. Dobędę ja jeszcze szabli za ojczyznę przy tobie, przy wnuku?

(Chór za sceną). Oj ostre, oj ostre, oj ostre kosy nasze!...

Pan Maciej (w uniesieniu do Jaśka). Słyszysz!, teraz nie wystarczy już szlachecka szabla, kmicemi kosami czas bronić ojczyznę. Tak, tak,

Jaśku, wszystkie dzieci, wszyscy synowie, staną wraz mociumdzieju (ostro do chłopca) I ty staniesz Jaśku!

Jasiek (chwytając z ziemi kosę). Stanę dziadku!

Pan Bartłomiej. Zatem, gdy tak gorący widzę tu afekt ku Rzeczypospolitej, nie pozostaje mi, jak wezwać wszystkich obecnych, aby każdy chętnem sercem objął właściwą mu szarżę, (do pani Agaty i Ewuni) Białogłowy niech śpieszą spyżę dla wojska przygotować, ja popsowam trochę głowy nad obmyśleniem kwater żołnierskich we dworze i w chałupach (do pana Macieja i Wojtusia) waszmość panowie zaś sformujcie w szyk kosynierów, gdyż jak suponuję, zechcecie witać generała na granicy Zagaja.

(Wszyscy obecni w kuźni i parobcy przed kuźnią wołają zgodnie).

„Wiwat generał Madaliński, wiwat naczelnik Tadeusz Kościuszko!

(Maciej formuje szeregi, w pierwszej parze idzie Wojtuś z Jaśkiem. Przeciagają marszem przed kuźnią. Ewunia i kowal salutują kosynierów po żołniersku, pani Agata błogosławi ich szkaplerzem. Słychać oddalający się chór ochotników)

Oj ostre, oj ostre, oj ostre kosy nasze!

Zasłona spada.

Zofia Bukowiecka.



14 października 1806 r.

W dniu tym przed stu laty zostały stoczone w niedalekiej odległości jedna od drugiej — dwie wiekopomne bitwy: pod Jena i pod Auerstädt. Niemilo dziś Prusakom wspominać te rocznice, bo w dniu tym Napoleon zniszczył jednym zamachem całą potęgę Prus.

Rzadko kiedy pycha i zarozumiałość doznały tak piorunującej nauczki od genialności wodza, karności i umiejętności podkomendnych.

Prusy, ufne w swe wojska, ufne w siłę polityki zaborczej prowadzonej tak bezwzględnie i pomyślnie przez swych władców, a zwłaszcza Fryderyka II w XVIII w. nie mogły znieść wzmagającej się potęgi Francji i wypowiedziały wojnę Napoleonowi, pewne, że dokonają tego, czego nie dokonały przed rokiem połączone siły cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego i Rosyjskiego.

Jak błyskawica stanęła armia Napoleona, znacznie mniejsza od pruskiej w sercu Niemiec pod Jena i widząc armię pruską podzieloną na dwie części tak samo się podzieliła.

Jednego dnia — 14-go października 1806 roku — sam Napoleon rozgromił armię ks. Hohenlohego pod Jena, a marszałek Davoust armię ks. Brunświckiego pod Auerstädem.

Ks. Brunświcki zginął, król pruski i królowa Ludwika ledwie zdołali uciec. Obie armie poszły w rozsypkę.

Rezultatem tych bitw było wzięcie Berlina i zajęcie całych Prus wraz z polskimi jej dzielnicami i Warszawą.

Wprawdzie później po upadku Napoleona Prusy odzyskały swoją potęgę, ale dla dziejów naszego narodu — kampania ta, rozpoczęta temi bitwami, miała ogromne i stanowcze znaczenie. W części przynajmniej zniweczyła ona dzieło trzeciego rozbioru, gdyż skutkiem jej zostało utworzenie w 1807 r. na mocy traktatu Tylżyckiego — Wielkie Księstwo Warszawskie, a następnie Królestwo Polskie kongresowe.

Sam przebieg obu bitw należy do najciekawszych i najbardziej wspaniałych, odznaczyli się w nich zwłaszcza oprócz głównego wodza — marszałek Davoust, wielki później przyjaciel Polski i stronnik jej niepodległości, oraz ks. Murat, szwagier Napoleona, pierwszy kawalerzysta świata.



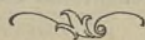
Nasze ryciny.

Artur Grottger. Wygnańcy.

Nieśmiertelny mistrz, twórca „Polonii”, „Lituanii”, „Doliny łez” celował w rysunkach, przedstawiających ducha poświęcenia, bohaterstwa i ofiary za wiarę i ojczyznę. Jak rzewnie i podniosło zarazem przemawia do dusz naszych ten niewielki rysunek, na którym garstka wygnańców dźwiga po śnieżnych przestrzeniach gdzieś daleko od kraju rodzinnego symboliczny wielki, ciężki krzyż takiego właśnie poświęcenia.

Szkoła rosyjska w dawnych czasach.

Te dwa stare drzeworyty, pochodzące ze zbiorów biblioteki Ordynacji Kasińskich, wyjęte są z książki p. t. „Bukwar Słowiańsko-kresko-łatynskij”, drukowanej w Kijowie 1701 r. Widzimy w nich wnętrza szkoły przy lekcji czytania. Jeżeli rysunki te mają wykazać zwykłe stosunki, panujące w tych szkołach, to widzimy, że czołobitność i plagi — zajmowały w nich miejsce poczesne.



Skrzynka do listów.

Stara gwardya ma prawo do szczególnych wyróżnień, zaczynam też skrzynkę od odpowiedzi dla *Żywego Srebra*, które kiedyś, razem z *Białą Lilijką* były korespondentkami Jaskółki. Wielka to radość, po latach rozłączenia, usłyszeć o losach kochanego i zdolnego pisklęcia. Pragnę całym sercem dopomóc ci w pracy dla ludu i dla młodzieży, proszę przyslij kajet, o którym wspominasz. Stary ptak mało może, dołożę jednak wszelkich usiłowań aby ułatwić ci wydrukowanie rzeczy wartościowych. Co do przysłanych poezyi to muszą zaznaczyć w nich pewną nierówność, obok ślicznych strofok zdarzają się wiersze psujące całość. Taki np. milutki zwrot do jaskółki:

«Czy ci nie tęskno będzie, ptaszyno,
«Nad Nilu błękitną strugą,
«Za naszą wioską, naszą jedyną,
«Którą odbiegasz na długi! —

poprzedzony jest niejasnym i nieudatnym wierszem. Sądzę, że masz u siebie brulion tej poezyi, przeczytaj ją uważnie, a może przynasz mi słuszność. Poezyę p. t. «Ciernie» odeślę redakcyi, sądję, że będzie użyta.

Odezwałeś się więc znów *Pędziwietrze*, a skąd wiedziałeś mój adres? Na szczęście mogę wyczerpująco odpowiedzieć na twoje pytanie, gdyż mam przed sobą artykuł o ulepszonych aparatach dla nurków. Sama przed kilkunastu laty widziałam nurka, którego ty tak pragniesz zobaczyć. Miał na sobie ubranie z gumy, takiej jaką używają na kalosze, głowę okrywał metalowy hełm z małym okienkiem, przez które nurek może widzieć pod wodą wszystkie cuda głębin. Podeszwy z łożu ułatwiają mu spuszczenie się na dół, a odzież połączona jest gumowym węzłem z maszyną pompującą świeże powietrze z góry. W Anglii, gdzie najczęściej pracuje nurków, czynią wciąż starania nad udoskonaleniem dla nich przyrządów. W ostatnich czasach zbudowano tam rodzaj pudła, przedzielonego na dwie części. Jedna jest zbiornikiem świeżego powietrza skąd dostaje się ono do drugiej, gdzie siedzi nurek. Odtąd nurkowie będą mogli spuszczać się po dwóch równocześnie, gdy jeden się zmęczy pracą, zastąpi go drugi, a ten tymczasem nabierze sił przebywając w zbiorniku. Dotąd nurek mógł zaledwie półgodziny przesiedzieć pod wodą, a badanie rozbitych okrętów, z któremi na dno idą nie raz wielkie skarby, wymaga często długiego czasu. Zdaje mi się, że w powieści *Z?* będzie grał rolę nurek.

Dlaczego miałabym nie chcieć korespondować z wami *Socyalistko* i *Wątpiąca*. Przeciwnie pragnę udzielać wam rad, bo sądję, że nie pożałujecie pracy dla pozyskania prawdziwej wiedzy, a z nią sprawiedliwego ocenienia praw i warunków społecznego bytu. Tu jednak sama nauka nie wystarczy. Piszecie o trudnościach, jakie przyzwyciężać musicie, pamiętajcie, że zwal-

czyć je można tylko przez prawdziwą miłość Bożą i w duchu jej przez wielkiem ukochanie otoczenia i pracę dla niego. Wtedy przyznać wam będzie ono musiało prawo do szerszej działalności, jeśli spełnicie podniosłe najbliższe, pierwsze wasze obowiązki. Przeczytajcie, proszę, wydane przez «Wieczory» „*Obowiązki młodych dziewcząt*“ Bukowieckiej a znajdziecie tam odpowiedź na wiele waszych pytań.

Co do dzieł naukowych, jakie wam wskazać obiecałam, to radzę przedewszystkiem zapoznać się z *Ekonomią*, jako z wiedzą obejmującą wiadomości z dziedziny praw rządzących rozwojem gospodarstwa w społeczeństwie. Jest do tej nauki mały podręcznik polski *Steckiego*, sądję jednak, że zajmie was więcej barwnie i wyczerpująco napisane dzieło *Francuza Gide'a*; wyszło ono już w tłumaczeniu na język polski.

I ciebie *Bezradna* zachęcałabym także do przeczytania książeczki p. Bukowieckiej, którą nabyć możesz w redakcyi «Wieczorów». Pojmuję doskonale stan twej duszy, ale odpowiedzieć wyczerpująco w krótkich słowach niepodobna. Pamiętaj jednak, że wielkie są obowiązki siostry, przed którą brat odśłania nowe światy pojęć. Za to poszerzenie i pogłębienie twego umysłu winnaś stać na straży tych jego uczuć, które kobiece serce łatwiej odczuć i przechować umie. Nie daj więc skalpelem mniemanej wiedzy odebrać sobie żadnych świętych wierzeń, owszem staraj się rozdmuchać w sercu brata te, które przygasnąć tam mogły. Oboje pewnie pragniecie osiąść szczęście, i dać je możliwie najszerszym tłumom, otóż pamiętaj *Bezradna* słowa o tak idealnej dążeniach poetki *Gabryeli*. «Przez szczęście ona rozumie to, co zbawiennym wpływem wznosi, kształci i uszlachetnia ducha naszego, a za nieszczęście ma to, co go poniża, nikczemni i gnębi». W dzisiejszych chwilach zamętu pojęć bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy opierać postępowanie nasze na niezachwianych zasadach wiary w Boga i poszanowaniu dostojeństwa duszy ludzkiej.

A teraz tobie *Dudusiu* odpowiadam na bardzo miły liścik. Właśnie takie, ołówkiem w dwóch liniach pisane, są Jaskółce największą radością i pragnę odbierać ich dużo, jaknajwięcej, mój *Dudusiu* drogi. Cieszę się, że lubisz ptaszki, bo pewnie znów kiedy napiszesz do Jaskółki.

TREŚĆ:

O słońcu (z ryc.), przez Wł. Umińskiego.—Z?, przekład p. Maryi Znatowiczówny.—Mowa ojczysta (wiersz), przez Zofię Mrozowicką.—Aulus Marcus. powieść, przez Teresę Jadwigę.—Wygnańcy (ryc.).—Szkoła rosyjska w dawnych czasach (2 ryc.).—Wojtuś i Ewunia, obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach.—14 października 1806 r.—Skrzynka do listów. Dodatek: Feniks i dywan czarodziejski, (z ryc.).—Ptaszki w cdlocie (wiersz).—Nieczciła Jamnik przez I. M.—Jagienka, powieść, przez A. Zielińską.—Zadania i łamigłówki.

Przypominamy o **odnowieniu prenumeraty na kwartał IV dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.**

Prenumerata „Wieczorów Rodzinnych“ wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 20 kop. wiersz 1 szp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska**.

W drukarni **E. Szyllera**, Nowy-Swiat 26.

FENIKS

i Dywan czarodziejski.

Dokończenie.

Potem dzieci napisały drugą kartkę z żądaniem, by dywan zabrał jajko w takie miejsce, gdzie nie mogłoby się wykluć przed upływem tysiąca lat. Feniks z boleścią serca oderwał się od ukochanego jajka, w które wpatrywał się wciąż z czułą troskliwością, gdy dzieci przypięły papier do dywanu; ten zwinął się szybko, kryjąc w swoich zwojach jajko i znikł wraz z niem z dzieciennego pokoju — na zawsze...

— Ach! — westchnęły dzieci chórem.

— Nie poddawajcie się żalowi — przemówił Feniks. — Czy myślicie, że i dla mnie nie jest bolesne to rozstanie? Zapanujcie nad wzruszeniem i zabierzcie się do układania dla mnie stosu...

— Ach! — zawołał Robert tracąc już zupełnie równowagę. — Nie mogę znieść tej myśli, że nas opuszczasz!

Feniks usiadł na ramieniu Roberta i pieśczośliwie otarł się dziobem o jego ucho.

— Troski, młodzieńcze, wkrótce wydawać się wam będą snem — wyrzekł. — Żegnaj — Robertcie mój ukochany! Kochałem cię bardzo!...

Ogień buchnął jasnym płomieniem. Dzieci dorzucały do niego wonności. Niektóre pachniały pięknie — inne zwłaszcza kminek i saszet „Violette de Parme“ — narobiły dymu gorszego, niż możnaby przypuszczać...

— Żegnajcie mi, Żegnajcie! Żegnajcie! Żegnajcie! — powtarzał Feniks, a jego głos zdawał się coraz więcej oddalać...

— Żegnaj nam Feniksie! — wołali wszyscy i wszyscy płakali...

Złocisty ptak obleciał siedm razy naokoło pokoju i usiadł w samym środku płomieni, które syczały i strzelały naokoło niego, ale jego złote pióra nie zapalały się wcale. Rozżarzyły się tylko do czerwoności — a potem nagle — wobec ośmiu przyja-

cielskich oczu wpatrzonych w niego — Feniks rozpadł się, i na jego miejsce został tylko wśród płonących ołówków i wonności... stos białego popiołu, nad którym płomieniste języki, zlały się w jedno ognisko...

* * *

— Coście zrobili z resztkami dywanu? — zapytała nazajutrz mamusia.

— Podarowaliśmy je komuś, kto bardzo ich pragnął — odezwała się Kizia. — Jego nazwisko zaczyna się od litery F...

— Ależ to już nic nie było warte — zauważyła mamusia.

— Osoba, której imię zaczyna się od F... powiedziała, że nie będziemy tego żalowali — wyjaśniła Kizia z takim pośpiechem, że nikt nie zdążył jej powstrzymać.

— Wierzę! — odrzekła mamusia, śmiejąc się.

Ale tego samego wieczora przyniesiono wielkie pudło, zaadresowane pod nazwiskiem dzieci. Eliza nie zauważyła numeru ani twarzy posłańca, który je przyniósł.

Naturalnie pudło otworzono zaraz. Trzeba było użyć do tego młotka i pogrzebacza, bo długie gwoździe wysuwały się z drzewa z trudnością. W pudle leżał piękny, jedwabny papier z chińskimi rysunkami, a pod papierem... Chyba wszystko, czego można pragnąć, a raczej wszystko, czego zawsze pragnęły dzieci: zabawki, gry, książki, czekolada i smażone



Podarunki Feniksa.

w cukrze owoce, i pudełka z farbami, i fotograficzne aparaty z materyałami, i podarki o których marzyły dla rodziców i dla Jagnięcia, ale nie mogły ich kupić dla braku pieniędzy. Na samem dnie pudła leżało małe, złote piórko... Jeden Robert je spostrzegł i schował na sercu w kieszeni kurtki, która tak często była schronieniem złocistego ptaka. Ale, gdy Robert poszedł spać, piórko znikło. Był to ostatni ślad.

Do pięknej futrzanej rotundy, której tak bardzo potrzebowała mamusia, przypięta była karta z napisem:

„Wzamian za dywan. Z wdzięcznością
F.“

Można sobie wystawić, że rodzice dużo o tem mówili. Po długich rozważaniach uznali, że osoba, która dostała dywan, a której—rzecz dziwna!—dzieci nie umiały opisać, musi być jakimś obłąkanym milionerem i zabawia się udając gałganiarza, ale dzieci wiedziały o tem coś więcej...

Wiedziały, że to jest wypełnienie, przez potężnego Piaskoludka ostatniej prośby Feniksa, i że to wspaniałe pudło pełne drogocennych skarbów, jest już ostatecznem—nieodwołalnem zakończeniem ich przygód z Feniksem i czarodziejskim dywanem.*)

KONIEC.



Ptaszki w odlocie.

Odleciały już bociany,
Kroczy sznur żorawi,
Dzikich gęsi sznur związany
W powietrzu się pławi.

I jaskółki, czarną rzeszą,
Radzą nad odlotem,
Hen, za morza gdzieś się śpieszą
Przed zimy powrotem.

Kto te ptaszki w obce kraje
Wiedzie przez bezdroża?
Kto skrzydełkom siłę daje
Nieść się ponad morza?

Kto upatrzył im kamuszki
Gdzie spoczną wśród drogi?
Kto na popas ześle muszki
Gdy głód zemdli srogi?

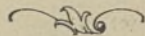
*) Gromadka nasza będzie miała jeszcze jeden szereg dziwnych przygód, które wkrótce wyjdą w «Wieczorach».

(Przyp. red.)

A gdy u nas, wiosną nową
Gaj się rozzieleni,
Kto znów drogę lazuruową
Wskaże im w przestrzeni?

Kto w gniazdeczko własne wróci
Każde drobne ptaszę?..
— Ten Bóg wielki, co policzył
Myśli, czucia nasze!

A gdy takim Ojca okiem
Czuwa nad ptaszyną,
Zważ, jak za twym każdym krokiem
Śledzi On, dziecko!...



NIEDZIELA JANINKI.

— Moja mamusiu, jak ja się martwię, że dzisiaj Lolus przyjdzie do nas na cały dzień, on taki głupiutki, taki nudny, a ja będę musiała go bawić, szkoda mi niedzieli!

— Fe, Janinko, nie spodziewałam się, żeby moja córka tak mówiła. Czyż nie znasz przysłowia: „Gość w dom, Bóg w dom“. Przytem Lolus nie jest wcale głupiutki, tylko troszeczkę za mały dla ciebie, a gdyby Pan Bóg był ci dał młodszego braciszka, byłabyś musiała się z nim zawsze bawić. To także braciszek, tylko cioteczny.

— Kiedy ja nawet nie wiem, co do niego mówić.

I poważna, dziesięcioletnia panna Janina zrobiła minkę bardzo niezadowoloną, na myśl o przybyciu siedmioletniego gościa.

W przedpokoju rozległ się dzwonek i Lolus z twarzyczką zarumienioną wpadł do pokoju.

— Dzień dobry cioci, dzień dobry Janince!—wołał wesoło od progu.

Ale twarzyczka dziewczynki nie rozchmuryła się ani trochę na to serdeczne powitanie, a to głównie z powodu, że wizyta Lolusia dziś właśnie pozbawiła ją wielkiej przyjemności.

Od tygodnia już miała obiecać, że pójdzie wraz z mamą do państwa Milskich, u których co niedziela zbierało się liczne dzieciinne towarzystwo, tymczasem wczoraj ciocia Zosia napisała, prosząc o gościnę dla swego synka, bo sama wyjeżdżała na wieś i nie miała z kim zostawić go na cały dzień w domu. List ten zniweczył piękne projekty Janinki i wprowadził ją w najgorszy humor.

Powoli i niewesoło upływała obojgu dzieciom ta niedziela. Janinka była wciąż myśla-

mi u państwa Milskich, a Lolus przyszedł wprawdzie bardzo rozradowany, ale prędko zmiarkował złe usposobienie swej ciotecznej siostry i, choć nie rozumiał prawdziwego powodu, sospępniał tak samo jak i ona.

Mama patrzyła na dzieci zdaleka i nie odzywała się do nich wcale, czekając, co z tego wyniknie.

— Jańciu, czemu ty dzisiaj taka jakaś, ani się nie bawisz, ani śmiejesz, mnie tak nudno, jużbym wolał wrócić do domu — zaczął się wreszcie skarżyć Lolus.

— Nie umiem się bawić z małemi dziećmi — odparła sucho Janinka.

Odpowiedź ta do żywego ubodła chłopczyka.

— Ja już nie jestem małe dziecko, bo mam siedm lat od tygodnia — odparł obrażonym tonem i odwrócił się twarzą do ściany, aby nie pokazać, że mu łzy w oczach stanęły.

— Lolusiu, chodź na drugie śniadanie i państwa Janinka także — rzekła w tej chwili bona, wchodząc do pokoju.

— Ja nie będę jadł, bo Janinka powiada, że ja jestem mały — mruknął Lolus, nie odwracając się od ściany.

— A cóż, może jesteś duży — odparła Janinka z przekorą.

— Nie jestem ani duży, ani mały, ale już ani razu nie przyjdę do ciebie, aż póki nie wyrosnę taki wielki... jak... ta kamienica.

Łkanie przerwało mu ostatnie słowa, zakrył oczy rączkami i przytulił się mocno do ściany.

Na widok takiego głębokiego żalu Janinka nie mogła pozostać obojętną, w jednej chwili spostrzegła się, że jeżeli Lolus był maleńki, to nie było przecież jego winą; więc nie należało mu tego wymawiać.

Nie odkładając na długo przeprosin, pobiegła natychmiast do chłopczyka, zaczęła go uspakać i pocieszać. Lolus chciał kapitulować z honorem, więc podał rękę do zgody dopiero wtedy, gdy mu zaręczono, że to wszystko były tylko żarty i, że on wcale, ale to wcale nie jest mały, zaledwie odrobinę mniejszy od Janinki, jednem słowem w sam raz na siedmioletniego chłopczyka.

Pogodziwszy się, dzieci poszły razem na śniadanie, a potem Janinka wydobyła z szafy wszystkie swoje nowe i stare zabawki i pozwoliła Lolusiowi niemi się bawić.

Po obiedzie wzięto się znowu do przeglądania książek Jani i czytania głośno niektórych powiastek, a Lolus wydawał się tem taki uszczęśliwiony, z taką ciekawością dopytywał się: a co dalej? a co dalej? że Janinka przejęła się tem samem uczuciem i z całą przyjemnością odczytywała dawno już znane rzeczy.

Kiedy nareszcie późnym wieczorem bona odeszła z Lolusiem, mama zapytała Janinki, czy rzeczywiście ta niedziela była tak bardzo nudna.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała szczerze dziewczynka — nudziłam się tylko do pół dnia, a potem było mi już bardzo przyjemnie.

— A wiesz dlaczego? — spytała mama — dlatego, że pragnąc wynagrodzić Lolusiowi zrobioną mu przykrość, postanowiłaś już wszystko dlatego celu poświęcić i bawiłaś go całym sercem, zapominając o własnej przyjemności. Ile razy weźmiemy się w ten sposób, szczerze i ochotnie do spełnienia jakiegoś obowiązku, najtrudniejsze zadanie wydaje nam się miłe i lekkie.

I. M.



JAGIENKA.

Powieść z czasów napadów Tatarskich.

przez

A. ZIELIŃSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

— Co tam za dobra nowina już dla nas być może! Nasze panisko, jak się dowiedział od pojmanych zbójników kilka miesięcy temu, że herszt Łuka zabił jakiegoś chłopca, tak na nowo oplakuje swego Bolka i wcale chce się zagrzebać w klasztorze. Dawniej jak kazałem wyprowadzać żrebce, żeby się jakim wychowankiem pochwalić, to spojrzał z przyjemnością, czasem westchnął szepnąwszy: „wraz byłby dla Bolka!“ Teraz ani zajrzy do stajni, ani się o co zapyta, już jest jakby nie z tego świata.

— Ależ chłopiec żyje! ocalony cudowną Opieką Boską. Jeszcze Starosta wielką pociechę z niego mieć będzie, bo wprawdzie dziki, ale szczery, jak złoto.

Tak gawędzili, idąc tyłami zabudowań, do mieszkania Dobkowego przy stajniach. Tam to Pietrasz pożywił się nieco; a kiedy były rozbójnik wyparzył się w kąpieli, brodę i włosy ostrzygł, miał to uczucie, jakby się drugi raz na świat narodził. Musiał szczegółowo opowiedzieć Dobkowi całą swoją i Bolka historię i dopiero umyślili iść do Sulisława.

W głębi ponurej komnaty, siedział w krzesle Sulisław, ksiądz odmawiał głośno psalmy pokutne, a Starosta powtarzał półgłosem... na odgłos otwieranych drzwi spojrzał niechętnie i dał znak ręką Dobkowi, żeby czekał końca modlitwy.

Po ostatniem przeżegnaniu, zwrócił przysięgę oczy i...

— Czegóż mnie znowu niepokoić... — zaczął.

— Miłościwy panie! przychodzę z dobrą wieścią...

— Dla mnie jej nie ma...

— Zmłówał się Pan nad Wami, są wieści o Pietraszu... o Bolku!

— Zkąd?... niechaj ten poseł wejdzie!...

Pietrasz rzucił się do kolan Starosty, który z wielkiego wzruszenia słowa przemówić nie mógł. A stary sługa powtarzał tylko bezładnie, całując jego ręce.

— Żyje Wasz syn jedyny! żyje z łaski Boskiej!

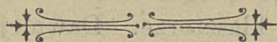
Dopieroż nie było końca zapytaniom, radość zaś i wdzięczność Panu Bogu za doznaną pociechę granic nie miały.

Ocalenie cudowne Jagienki również podziw wzbudziło.

Starosta byłby chciał jechać w tej chwili po ukochanego syna, siły jednak, zwątłone smutkiem i postami, zawiodły go. Musiał nawet do łóżka się położyć, a ksiądz Jan, który jak wszyscy ówczesni zakonnicy był też po trochu lekarzem, przyrzadził mu jakiś wzmacniający napój i zupełny spokój nakazał.

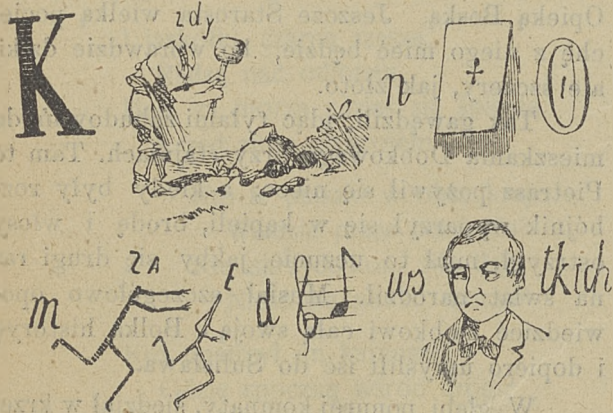
Dobek otrzymał polecenie zebrania ludzi i koni, aby wraz z Pietraszem następnego dnia wyjechał z Gródka po ocalone dzieci.

(d. c. n.)



Zadania i łamigłówki (do nagrody).

REBUS.



Dla ułatwienia objaśniamy, że u dołu jest nuta «la», a rysunek popiersia przedstawia człowieka zezowatego.

Łamigłówka kombinacyjna

ułożyła Areimizak.

1	2	3	4	5	6	7
c	n	e	m	d	e	z
8	9	10	11	12	13	14
k	i	w	o	ł	r	e
15	16	17	18	19	20	21
w	k	z	c	w	s	u
22	23	24	25	26	27	28
d	i	z	m	m	e	i
29	30	31	32	33	34	35
o	a	a	ó	r	a	ę
36	37	38	39	40	41	42
i	n	i	i	i	i	e
43	44	45	46	47	48	49
k	e	i	j	ę	o	o

Rozmieszczone w powyżej podanym kwadracie cyfry z literami należy poprzestawiać w ten sposób, aby suma liczb w rzędach pionowych poziomych i przekątnych równała się zawsze 175, a litery złożyły znany aforyzm Mickiewicza.

Kalembury

ul. J. Głowacki, S. Sokołowski, Ukrainka i Stasia K.

- 1) Uciekł koń mi.
- 2) Jutro ja napewno wezmę.
- 3) Weź nalep muszkę!
- 4) Papier osa gryzie.
- 5) Ma, matka, obrus!

Nie zmieniając porządku żadnej litery w powyższych sześciu zdaniach, a łącząc tylko sylaby ze sobą w odpowiedni sposób należy utworzyć sześć nowych zdań, różniących się znaczeniem od poprzednich.

Termin nadsyłania rozwiązań 10-cio dniowy.

Jako nagrody przeznaczają się książki, które będą rozlosowane między trafnie rozwiązujących.

Na kopertach listów z rozwiązaniami łamigłówek należy pisać „dział zadaniowy“. Jeżeli rozwiązania są przysyłane razem z listem do Jaskółki, to należy je wypisywać na oddzielnej karcie.

